

Bolesław Leśmian



# Przygody Sindbada Żeglarza

Armoryka

Bolesław Leśmian  
Przygody Sindbada Żeglarza



**Bolesław Leśmian**

# **Przygody Sindbada Żeglarza**

**Armoryka  
SANDOMIERZ 2009**

Redaktor: Władysław Kot  
Projekt okładki: Juliusz Susak

Ilustracja na okładce: Sani ol-Molk (1849 - 1856) – *Illustration from "One Thousand and One Nights"*,  
(licencja *public domain*),  
źródło: [http://commons.wikimedia.org/wiki/Image:One\\_Thousand\\_and\\_One\\_Nights17.jpg](http://commons.wikimedia.org/wiki/Image:One_Thousand_and_One_Nights17.jpg)

Copyright © 2009 by Wydawnictwo  
i Księgarnia Internetowa ARMORYKA

Wydawnictwo ARMORYKA  
ul. Krucza 16  
27-600 Sandomierz  
tel (0-15) 833 21 41  
e-mail: [wydawnictwo.armoryka@interia.pl](mailto:wydawnictwo.armoryka@interia.pl)  
<http://www.armoryka.strefa.pl/>

ISBN 978-83-60276-70-9

## PRZYGODA WSTĘPNA

Nazywam się Sindbad. Mieszkam stale w Bagdadzie. Rodzice moi umierając zostawili mi w spadku tysiąc worów złota, tysiąc beczek srebra, sto pałaców, sto ogrodów i jeden trzonowy ząb mego pradziadka, który ojciec mój przechowywał w hebanowej szkatułce jako pamiątkę i osobliwość. Pradziadek mój przez całe życie chorował na ból zębów i co pewien czas inny ząb musiał wyrwać, tak że w końcu jeden mu tylko ząb trzonowy pozostał. Umierając kazał sobie wyrwać i ten ostatni ząb trzonowy, który przeszedł w spadku od mego dziada do mego ojca, a od ojca – do mnie. Był to zwyczajny, zepsuty i szerniałły ząb. Jestem pewien, że na świecie znaleźć można bardzo wiele tak samo zepsutych i szerniałłych zębów, lecz nie każdy z nich trafia do hebanowej szkatułki, aby stanowić pamiątkę i osobliwość. Ten – trafił. Nieraz, przyglądając mu się z ciekawością i szacunkiem, wyobrażałem sobie, jak ten ząb bolał niegdyś mego pradziada.

Po śmierci rodziców zamieszkałem w pałacu wraz z jedynym moim wujem Tarabukiem. Wuj Tarabuk był poetą. Co dzień niemal układał wiersze i odczytywał potem tak głośno, że dostawał bólu gardła i musiał je starannie przepłukiwać lekarstwem, które pilnie ukrywał przed okiem ludzkim, zachowując ścisłą tajemnicę. Twierdził przy tym, że gardło go wcale nie boli i że nie ma przeto potrzeby płukania gardła lekarstwem.

Wuj Tarabuk kochał poezję, lecz nienawidził gramatyki. Pisał z błędami i zazwyczaj na jedno słowo dwa do trzech błędów popełniał. Wstydział się wszakże swej błędnej pisowni i twierdził, że popełnia błędy umyślnie, ażeby potem mieć sposobność i przyjemność poprawiania swych utworów. Nie zauważyłem jednak, ażeby wuj Tarabuk raz napisany wiersz kiedykolwiek poprawiał.

Wuj Tarabuk miał stolik składany, srebrny kałamarz i złote pióro... Z tymi przyborami chadzał na brzeg morza, siadał nad brzegiem i, wsłuchany w szумы morskie, pisał swe wiersze.

Pewnego razu o poranku poszedł na brzeg morza. Ustawił stolik składany, umoczył złote pióro w srebrnym kałamarzu i zaczął pisać jakiś wiersz na różowym papierze.

Pisał i pisał, skrobał i skrobał, pocił się i pocił, sapał i sapał, aż wreszcie po nieludzkich trudach i mękach ułożył wiersz następujący:

Morze – to nie rzeka, a ptak – to nie krowa!  
Szczęśliwy, kto kocha rymowane słowa!  
Rymuj mi się, rymuj, drogi mój wierszyku!  
Stój w miejscu cierpliwie, składany stoliku!  
Stoi stolik, stoi, zachwiewa się nieco,  
Za stolikiem – morze, za morzem – Bóg wie co!

Napisawszy ten wiersz wuj Tarabuk odczytał go głośno i zawołał:

– Piękny wiersz! Jaki prawdziwy początek! Morze – to nie rzeka, a ptak – to nie krowa. Któż zaprzeczy prawdzie tych słów! I jaki trafny koniec! Za stolikiem morze – za morzem – Bóg wie co. Rzeczywiście, za morzem widać mgłę, a w tej mgłę dal nieznana. Jeden Bóg wie, co się w tej dali kryje. Dlatego też napisałem: za morzem – Bóg wie co.

Wuj Tarabuk zatarł ręce z zadowolenia i wyciągnął z kieszeni butelkę z tajemniczym lekarstwem, ażeby przepłukać gardło, nadwerżone głośnym odczytaniem świeżo napisanego wiersza.

Trudno uwierzyć, ile błędów ortograficznych zdążył popełnić wuj Tarabuk w tak krótkim wierszyku! Zamiast "rzeka", pisał "żega", zamiast "ptak", pisał "bdag". Nie chce wszystkich błędów wyliczać, aby nie ośmieszać mego wuja, którego Kocham i poważam. Zresztą sam wuj Tarabuk czuł, że pisze błędnie. A chociaż nie mógł swych własnych błędów zauważyć, wszakże powtórnie wiersz przeglądając zaczął każde słowo o błąd podejrzewać. Szereg tych nieustannych podejrzeń tak go zmęczył, że wreszcie poprawiwszy "bdaga" na "bdacha" zasnął snem nagłym, smacznym i pokrzepiającym. Spał kiwając się bezwolnie nad składanym stolikiem i co chwila pochrupując – bo wuj Tarabuk chrapać lubił i umiał.

Chmury zgromadziły się na niebie, morze rozbłysło srebrnymi wstęgami rozszumiałych pian, zerwała się burza.

Wuj Tarabuk spał.

Wicher uderzył w stolik składany, porwał srebrny kałamarz i złote pióro i wrzucił je do morza.

Wuj Tarabuk spał.

Utonęło złote pióro i srebrny kałamarz. Po raz pierwszy obydwa te przedmioty znalazły się na dnie morskim wśród dziwnych ryb

i potworów. Wicher powtórnie uderzył w stolik składany i zwał wszystkie papiery do morza. Były to – niestety! – wszystkie wiersze wuja Tarabuka, które napisał od lat dzieciennych aż do chwili ostatniej. Wiersze zakolysały się na wzburzonych falach i zaczęły moknąć. Mokły, mokły, aż przemokły i, ociężałe od wypitej wody, poszły na dno w ślad za kałamarzem i piórem.

Morze poczuwszy w swej głębi rymowane utwory wuja Tarabuka wzburzyło się jeszcze bardziej, zaszumiało, zaryczało tak mocno, że wuj się nareszcie zbudził.

Zbudził się i spojrzał na stolik. Nie ujrawszy na stoliku swych skarbów zaczął płakać i wrzeszczeć, i wyrywać sobie włosy z głowy. Płacząc, wrzeszcząc, wyjąc, skomlać i wyrywając sobie pęki bujnych włosów, pobiegł z powrotem do domu, pochwycił wędkę największą, wrócił z nią na brzeg morza i zarzucił wędkę do wody. Myślał wuj Tarabuk, iż mu się uda wędką rękopisy z głębin morskiej połowiać.

Odtąd wuj Tarabuk co dzień z wędką nad morze chadzał, lecz nadaremnie! Nigdy bowiem nie udało mu się ani jednego rękopisu wyłowić!

Tymczasem wszystkie rękopisy wuja leżały na dnie. Zauważyła je pewna ryba, zwana Diabłem Morskim. Jest to ryba z pękatym brzuchem, olbrzymią paszczą i strasznymi oczyma. Ma wszakże tę zaletę, iż jest uczona. Umie czytać i pisać. Otóż Diabeł Morski ujrawszy rękopisy zbliżył się do nich i zaczął je uważnie odczytywać. Po odczytaniu kilku rękopisów machnął gniewnie ogonem i zawołał:

– Nigdy jeszcze nie czytałem tak głupich, brzydkich i nieznośnych wierszy! Na domiar złego, w każdym słowie dwa do trzech błędów się ukrywa. Domyślam się, że autorem tych wierszy jest wuj Tarabuk, który co dzień nad brzegiem morza wysiaduje przy składanym stoliku i suszy głowę nad rymami. Dobrze się stało, że wichher zwał mu ze stolika te rękopisy wraz ze srebrnym kałamarzem i złotym piórem! Może przestanie wreszcie tworzyć te obrzydliwe wiersze! Ma on bardzo miłego siostrzeńca, Sindbada, mieszka z nim razem w pałacu. Biedny to siostrzeniec, który z takim wujem mieszkać musi pod jednym dachem! Skorzystam z tego srebrnego kałamarza i złotego pióra, aby napisać list do Sindbada. Poproszę mojej dobrej znajomej, Ryby Latającej, żeby ten list Sindbadowi wręczyła.



Diabeł Morski zabrał się natychmiast do pisania listu. Wybrał rękopis, którego jedna tylko strona była zapisana, a druga pusta, i zaczął szybko złotym piórem pisać na pustej stronie.

Wiem o wszystkim, co się działo na dnie morza, gdyż pewnej nocy otrzymałem list od Diabła Morskiego i z treści tego listu domyśliłem się, że działo się właśnie tak, a nie inaczej.

Siedziałem w oknie otwartym i patrzyłem przez okno w niebiosy, na których płonęła pełnia księżycowa. Nagle usłyszałem w powietrzu dziwny, suchy, ostry szum skrzydeł. Był to szum osobliwy, do żadnych szumów niepodobny. Żaden ptak nie szumi tak skrzydłami.

Wysunąłem głowę przez okno i zacząłem uważnie wpatrywać się w księżycową jasność pogodnej nocy. Po chwili ujrzałem w powietrzu Rybę Latającą.

Jej skrzydła, podobne do ogromnych płetw, srebrzyły się w księżycu. Poruszała nimi powoli i z trudem. Nie była snadź przyzwyczajona do lotu nad ziemią i raził ją zapewne brak wody morskiej w powietrzu. Leciąca jednak wytrwale, mieniając się w świetle księżyca łuską tęczową. Widziałem, jak szybko porusza zmęczonym pyskiem, chwytając skrzelaми dech, utrudniony brakiem wody. W pysku trzymała kawał różowego papieru. Leciąca wprost ku mnie.

Zbliżywszy się do okna, podała mi papier różowy. Zaledwo ten papier wyjąłem jej z pyska, ryba natychmiast umknęła z powrotem i wkrótce znikła mi z oczu.

Spojrzałem na papier. Na jednej jego stronie świetniał kaligraficznie i starannie, lecz z okropnymi błędami napisany wiersz wuja Tarabuka. Poznałem od razu charakter jego pisma i nie chcąc odczytywać nudnego i głupiego wiersza odwróciłem arkusz papieru i spojrzałem na drugą jego stronę.

Na drugiej stronie u góry olbrzymimi literami czernił się napis:

WIELMOŻNY SINDBAD

w Bagdadzie

Niżej pod tym napisem znajdował się list treści następującej:

Piszę z morza do Ciebie, kochany Sindbadzie!  
Choć się burza zerwała i fala się kładzie

Na mój grzbiet i przerywa mój spokój i cisze,  
Ja – mimo burz i wichrów – list do ciebie piszę,  
Nazywają mię ludzie Diabłem Morskim, ale –  
Choć jestem Morskim, diabłem nie czuję się wcale.  
Przeciwnie – jestem dobry, tkliwy, choć rubaszny,  
Bo mam brzuch zbyt pękaty i pysk bardzo straszny.  
Nie sądz mnie po pozorach ani po wyglądzie,  
Ja zjadam ryby w morzu, ty zjadasz – na lądzie,  
Ja połykam je żywcem, ty – po usmażeniu.  
Obydwaj dogadzamy swemu podniebieniu,  
Obydwaj pożeramy chętnie, co się zdarza,  
Z tą różnicą, że nie mam – tak jak ty – kucharza.  
Ja wołę ryby z morza, ty – ryby z patelni,  
Lecz obydwaj jesteście w pożeraniu dzielni.  
Mimo to nikt cię diabłem dotąd nie przeżywa,  
A mnie w dziale przypadła ta nazwa straszliwa!  
Ani burza najsroźsza, ani złe wichrzysko  
Nie męczy mię, nie boli tak, jak to przezwisko!  
Trudno! Muszę je nosić, choćby z tej przyczyny,  
By nie zostać bez nazwy wśród morskiej głębiny!  
Przysięgam ci, że diabłem nie jestem i wołę  
Pływać w morzu niż w ogniu piekielnym lub smole.  
Ufam, że ci wystarczy ta moja przysięga,  
Piszę ten list z powodu, iż wicher-włóczęga,  
Który na brzegu przygód byle jakich szuka,  
Zwiął do morza papiery wuja Tarabuka,  
Słynny srebrny kałamarz tudzież złote pióro.  
Płynąłem właśnie, gnany falą i wichurą,  
I pod wodą papiery widząc niespodzianie,  
Zacząłem chciwie czytać, bo lubię czytanie,  
A nawet wołę wiersze od zwyczajnej prozy.  
Przeczytałem – i dotąd od gniewu i zgrozy  
Trzęsę się, bo doprawdy w życiu po raz pierwszy  
Przeczytałem tak dużo tak okropnych wierszy!  
Co za rymy bez sensu wuj Tarabuk przedzie!  
Głupstwo siedzi na głupstwie, błąd siedzi na błędzie.  
Osioł pisałby lepiej, a noga stołowa  
Więcej ma w sobie sensu niżli jego głowa!  
Sindbadzie! Jakże możesz żyć pod jednym dachem

Z takim głupcem nieznośnym i z takim postrachem?  
Jak możesz spać spokojnie w tym samym budynku,  
Gdzie Tarabuk swe rymy tworzy bez spoczynku?  
Opuść prędzej swój pałac i pożegnaj wuja.  
Czyż nie nęci cię okręt, co po morzu buja?  
Czyż nie wabi cię podróż dziwna i daleka?  
Cud nieznan w nieznaney podróży cię czeka.  
Czeka cię bajka senna w zaklętej krainie  
I Królewna stęskniona, co z urody słynie,  
I skarby, i przepychy, i dziwy, i czary!  
Pędź na lotnym okręcie przez morza obszary,  
Zwiedzaj wyspy, półwyspy, lądy i przylądki  
I najdalsze zatoki, najskrytsze zakątki.  
Zwalczaj wszelkie przeszkody i wszelkie zawady!  
Pędź, leć, płyn bez ustanku! Posłuchaj mej rady!  
Tego ci życzy, ukłon przesyłając dworski,  
Kochający się szczerze – twój druh Diabeł Morski

Przeczytałem ten list jednym tchem i wyznam, że nigdy nie przypuszczałem, ażeby Diabeł Morski pisał tak składnie i poprawnie. List ten wywarł na mnie wielkie wrażenie. Rady Diabła Morskiego wydały mi się i słuszne, i ponętne. Od dawna mi się znudził i mój pałac, i wuj Tarabuk, i wiersze wuja Tarabuka. Od dawna pragnęłam zaznać przygód i niebezpieczeństw. Prócz tego list Diabła Morskiego, czytany w świetle księżycy, oczarował mię przenikliwym, nieodpartym czarem. Każde słowo, pisane czarnym atramentem na różowym papierze, dziwnie migotało w blasku księżycowym i tak mnie upajało, że poczułem w końcu zawrót głowy. Każda litera wydzielala ponętny zapach morskiej trawy. Bez wątpienia, list ten był zaklęty, a treść jego, mimo dobroduszných pozorów – była naprawdę diabelska. Przebiegły Diabeł Morski w wyrazach łagodnych i tkliwych namawiał mię do opuszczenia rodzinnego domu i jedyne-go wuja. Poddalem się jednak czarom tej namowy. Byłem tak zachwycony listem adresowanym na moje imię z tajemniczych głębin morza, że byłbym natychmiast odpisał Diabłu Morskiemu, gdyby Ryba Latająca zaczekała na moją odpowiedź.

Lecz Ryba Latającej od dawna już nie było. Nie czekając na odpowiedź uciekla z powrotem do morza.

Całą noc przesiedziałem przy oknie w głębokiej zadumie.

Nad ranem wyczekałem chwili, gdy wuj Tarabuk z wędką w rękę wychodził właśnie z pokoju, aby swoim zwyczajem udać się nad morze dla wyłowienia zgubionych rękopisów.

Był blady i smutny. Strata ukochanych rękopisów rujnująco wpłynęła na jego zdrowie. Postarzał się o lat sto z górą, chociaż miał dopiero lat pięćdziesiąt. Stał się małowimny i nie kończył słów, które zaczynał. I teraz spojrział na mnie smutnie i rzekł:

– Dzień do...

Miało to znaczyć: "dzień dobry". Zmartwienie i żal głęboki nie pozwalały mu słów domawiać. Przyzwyczailem się do tych niecałkowitych i niedokończonych wyrazów i po pierwszej niemal sylabie zgadywałem ich przemilczaną resztę.

– Dzień dobry – odrzekłem – jakże się spało tej nocy wujkowi?

– Jak naj... – odpowiedział wuj Tarabuk. Miało to znaczyć: "jak najgorzej", wuj bowiem po stracie rękopisów cierpiał na bezsenność.

– Muszę się z wujem pożegnać! – rzekłem głosem stanowczym. – Dziś w nocy postanowiłem wyruszyć w podróż daleką. Czy wuj ma co przeciw temu?

– Nie – odpowiedział wuj.

("Nie" – było jednym z tych słów, które wuj wymawiał całkowicie). Po stracie rękopisów wuj Tarabuk stał się tak obojętny na wszelkie sprawy, że nie wzruszyła go wcale wiadomość o mojej podróży.

Rzuciłem mu się na szyję i zacząłem go ścisnąć i całować.

– Wuju! – zawołałem. – Żegnam cię na długo i życzę, abys połował z morza wszystkie swoje rękopisy!

Wuj Tarabuk ucałował mię w czoło i rzekł głosem złamanym:

– Weso...

Miało to znaczyć: "wesolej podróży!"

Po czym wuj Tarabuk wyszedł, a po chwili zobaczyłem przez okno, jak kroczył w stronę morza potrząsając wędką.

Tegoż dnia wyjechałem konno z Bagdadu do Balsory, Balsora bowiem jest miastem portowym i okręty z portu balsorskiego odpływają we wszystkie strony świata.

W Balsorze wsiadłem na okręt, który płynął w kraje dalekie i nieznanne. Stałem na pokładzie okrętu i patrzyłem, jak ląd się ode mnie oddala i jak powoli znika mi z oczu. Wiał wiatr przychylny. Wzdęte żagle połyskiwały na słońcu. Morze błękitniało i zieleniało.

Mewy z krzykiem unosiły się nad żaglami, wlatywały nad powierzchnią wody i muskały tę powierzchnię białymi skrzydłami. Gdy łódź zniknęła mi z oczu, uczułem wokół bezmiar i nieskończoność.

Nade mną – niebo, pode mną – morze, przede mną – dal nieznaną i niezbadaną.

Wyjąłem z kieszeni list Diabła Morskiego, aby ten list czarowny raz jeszcze odczytać. Czytałem go upajając się każdym słowem i tak przy tym wymachiwałem rękami, że kapitan okrętu zbliżył się do mnie i zapytał:

– Co czytasz, mój przyjacielu, że tak dziwacznie przy tym wymachujesz rękami?

– List Diabła Morskiego – odrzekłem ze szczerością i prostotą.

– Co? – spytał znowu zdziwiony kapitan. – Zdaje mi się, że nie dosłyszał twej odpowiedzi?

– List Diabła Morskiego – powtórzyłem głośniejszym głosem, z jeszcze większą szczerością i z jeszcze większą prostotą.

## **PRZYGODA PIERWSZA**

Kapitan, posłyszawszy moją odpowiedź, rzekł przyglądając mi się uważnie:

– Mówili mi nieraz moi marynarze, że Diabły Morskie umieją czytać i pisać. Nie wierzyłem dotychczas tym opowiadaniom. Teraz jednak przekonuję się naocznie, iż twierdzenia moich marynarzy były prawdziwe. Byłbym ci niezmiernie wdzięczny, gdybyś mi pozwolił ten list przeczytać, o ile ma się rozumieć nie zawiera on jakichś tajemnic osobistych.

– Chętnie zaspokoję twą ciekawość, kapitanie – odrzekłem podając mu list. – List ten przyniosła mi w pysku Ryba Latająca gdy siedział przy otwartym oknie mego pałacu.

Kapitan przeczytał list i zawołał jednego z najstarszych marynarzy.

– Mam w ręku list Diabła Morskiego – rzekł do marynarza. – Ponieważ jesteś doświadczony, więc powiedz, czy obecność takiego listu na okręcie przynosi szczęście czy też nieszczęście?

– Nieszczęście – odparł stary marynarz głosem poważnym i ponurym.

– Cóż tedy mam uczynić z tym listem? – spytał kapitan.  
– Wrzuc co prędzej do morza! – powiedział marynarz.  
– Sindbadzie! – zawołał kapitan. – Musisz się zgodzić na to, że cię pozbawię tego listu.  
– Zgadzam się na to, kapitanie! – odrzekłem natychmiast. – Miałbym przez całe życie wyrzuty sumienia, gdybym był nieświadomym sprawcą czyjegokolwiek nieszczęścia.

Kapitan wrzucił list do morza. List, zamiast płynąć po wodzie, zaczął się kurczyć, prężyć, przeskakiwać z fali na falę, aż wreszcie sam się złożył we dwoje, potem we troje, potem we czworo i nagle zaszumiał, zaszeleścił, zamienił się w pianę morską i rozpląnął się w nic na powierzchni fali. Marynarz spojrział spode łba na mnie i rzekł ponuro:

– Gdybyś ten list zachował przy sobie, zginąłbyś po kilku godzinach podróży wraz z całą załogą. Teraz, po wrzuceniu listu do morza, czekają cię przygody, nieszczęścia, niespodziane przypadki i nieprzewidziane niebezpieczeństwa. Bardzo mi się nie podoba, że otrzymujesz listy od Diabła Morskiego, ale przypuszczam, że jesteś niedoświadczony i nie znasz się na Diabłach Morskich ani na ich listach.

Nic nie odpowiedziałem marynarzowi, jeno spojrzałem na kapitana, czekając, co powie. Czulem bowiem, że marynarz spogląda na mnie podejrzliwie i posądza mnie o jakieś tajemnicze konszachty z Diabłem Morskim. Kapitan też to spostrzegł i rzekł do marynarza:

– Nie patrz tak podejrzliwie na tego młodzieńca, gdyż rękę ci za jego niewinność. Gdyby miał jakieś złe zamiary, ukrywałby przed nami list Diabła Morskiego; tymczasem wyznał mi sam z zupełną szczerością i prostotą, że czyta list Diabła Morskiego, i powtórzył to wyznanie dwa razy z rzędu.

Uspokojony słowami kapitana marynarz się oddalił, lecz całej załodze opowiedział natychmiast o tym, co się stało. Toteż wszyscy prócz kapitana zaczęli się boczyć na mnie i unikać mego towarzystwa.

Z nikim nie mogłem się zaprzyjaźnić ani nawet przelotnej rozmowy nawiązać. Nawet obiad spożyłem osobno, nie zaś przy stole ogólnym, ponieważ załoga zażądała zupełnego usunięcia mej osoby od wspólnych zebrań. Słyszałem tylko gwar i śmiechy przy stole, lecz nie miałem prawa zasiąść do tego stołu.

Kapitan wytłumaczył mi, iż musiał ustąpić żądaniu załogi, aby nie drażnić marynarzy.

Samotny więc stałem w kącie pokładu i patrzyłem na morze, które wzbierało szafirową falą, spienioną na grzbiecie. Fala była wysoka, lecz obszerna. Okręt kołysał się na niej powoli, to wbiegając na jej grzbiet sprężony, to zsuwając się z tego grzbietu w dół, aby się znów na następną falę przedostać.

Słońce świeciło skrząc się i płonąc na nierównościach i zagięciach fal. Pogoda była cudowna. Wiatr, który wzdymał nasze żagle, ustawał.

Nadchodziła powoli nie znana mi dotąd, nieruchoma, drętwa Ciszka Morska. Fale się co chwila zmniejszały, powierzchnia morza wyglądała się coraz bardziej.

Stałem wciąż na pokładzie i upajałem się pogodą. Nagle posłyszałem niespokojny ruch całej załogi.

Obejrzałem się za siebie.

Tłum marynarzy roił się na pokładzie, mrużąc i ponuro spoglądając w czyste, pogodne niebiosy. Znać było po nich trwogę i niepokój. Nie mogłem zrozumieć, skąd ta trwoga i ten niepokój.

Wszakże niebo było czyste – bez chmury, bez skazy. Pogoda utrwaliła się na długo. Żadna burza nie groziła naszemu okrętowi. Upajałem się słońcem i ciszą, ze zdziwieniem patrząc na zatrwożonych widokiem pogodnego nieba marynarzy. Kapitan stał pośród nich i, z taką samą trwogą przyglądając się niebiosom, coś mówił czy też wydawał jakieś rozkazy. Stałem na końcu pokładu i nie mogłem dosłyszeć głosu kapitana. Zaciekawiony jednak ogólnym zgiełkiem i niepokojem, zbliżyłem się nieco, aby pochwycić słowa kapitana. – Nie spodziewałem się takich przeszkód i takiej zwłoki – mówił kapitan. – Miałem nadzieję, a nawet pewność, że los będzie sprzyjał okrętowi. Tymczasem musimy się pogodzić z nieszczęściem, które na nas spada. Nieszczęście to jest zbyt widoczne, aby można było o nim wątpić. Wicher ustaje, powierzchnia morza wygląda się z niezwykłym pośpiechem, fala za falą znika i zamiera. W powietrzu zaczyna dzwonić straszna, groźna, przeraźliwa i gniewna Ciszka Morska. Jeszcze chwila – a wszelki powiew zamrze, żagle znieruchomią i zamiast się wzdymać, zwisną bezsilnie. Okręt zatrzyma się jak skamieniały w tej martwocie i w tym bezruchu. Będziemy zmuszeni stać w miejscu dopóty, dopóki wiatr lada jaki nie

przyjdzie nam z pomocą. Wolę burzę niż tę Ciszę Morską. Z burzą można walczyć, z ciszą walka jest niemożliwa.

Zrozumiałem teraz, że pogoda i cisza, którą się tak upajałem, jest groźnym dla okrętu zjawiskiem. I rzeczywiście, wiatr z każdą chwilą bezsilniał, a żagle wzdymały się coraz słabiej, niechętniej i niedołęzniej. Dalszy ciąg rozmowy pomiędzy kapitanem a marynarzami napenił mię przerażeniem. Stary ów bowiem marynarz, który list Diabła Morskiego kazał wrzucić do morza, rzekł głosem ponurym, wskazując mię palcem i zwracając się wprost do kapitana:

– Ten nieznamy jest przyczyną naszego nieszczęścia. Nie podobna mi się bardzo jego korespondencja z Diabłem Morskim. Gdybym był kapitanem, kazałbym go wrzucić do morza wraz z listem Diabła Morskiego. Obecność tego człowieka na okręcie może być przyczyną tysiąca nieszczęść i przypadków.

Dreszcz przeszył mię od stóp do głowy. Czuję, że blednę, i z przerażeniem spojrzałem w głębinę morską, która z porady starego marynarza mogła za chwilę stać się moim grobem. Z biciem serca jałem nasłuchiwać odpowiedzi kapitana, od której życie moje zawisło.

Kapitan zmarszczył brwi, zamyślił się głęboko i milczał. Milczał tak długo, że milczenie jego stawało się dla mnie tak samo groźne jak Cisza Morska dla okrętu. Im dłużej milczał, tym większy niepokój mię ogarniał. Zataiłem dech, natężyłem słuch – i czekałem. Zdawało mi się, że na czas jego milczenia przestałem istnieć. Wreszcie kapitan rzekł po długim namyśle i po jeszcze dłuższym milczeniu:

– Nie masz słuszności, mój stary i wierny marynarzu. Młodzieńiec ten nie jest ani złym człowiekiem, ani przebiegłym czarno-księżnikiem na usługach Diabła Morskiego. Otrzymał ów list przypadkowo, a ponieważ list był do niego adresowany, więc odebrał go i zachował przy sobie nie domyślając się nawet niebezpiecznych wpływów tego listu. Wyraz twarzy tego młodzieńca, jego zachowanie, dźwięk głosu, a przede wszystkim szczerść i prostota – aż nadto świadczą o jego szlachetności. Nie tylko nie wrzucę go do morza, lecz zabraniam całej załodze urażać go lub czynić mu cokolwiek złego.

Odpowiedź kapitana przywróciła mi spokój. Odetchnąłem swobodniej. Byłem uratowany. Przeklinałem w duchu Diabła Morskiego, który przysyłką tego listu naraził mię na samym wstępie podró-



ży na nieprzychylność marynarzy i na możliwość utonięcia w głębinie morskiej z ich porady i z ich zlecenia. Gdyby nie rozum i dobroć kapitana, wrzucono by mnie niechybnie do morza. Miał słuszość stary marynarz, że za przyczyną listu, diabelskiego czyhają na mnie niebezpieczeństwa i przygody.

Uspokojony odpowiedzią kapitana usunąłem się znów na koniec okrętu i spojrzałem na morze. Cisza Morska wzrastała, olbrzymiała, napelniając powietrze coraz większą martwością. Okręt płynął jeszcze, ale coraz zwalniał biegu.

Nagle usłyszałem gromadny i radosny krzyk marynarzy: – Wyspa! Wyspa!

Spojrzałem przed siebie i rzeczywiście zobaczyłem w pobliżu zieleniejącą na powierzchni morza małą wysepkę.

Okręt, ostatnim wysiłkiem żagli pchnięty, zbliżył się do wysepki i zatrzymał się nagle bez ruchu. Nie było nadziei na to, aby popłynął dalej. Cisza Morska znieruchomiła go zupełnie.

Musieliśmy więc stać w miejscu i czekać, aż wiatr jakikolwiek nadejdzie.

Część załogi, znudzona bezczynnym wyczekiwaniem wiatru na pokładzie, postanowiła przedostać się na wyspę, aby tam spędzić czas wyczekiwania.

Kilkunastu marynarzy wysiadło natychmiast i zaroilo się na wyspie. Wysiadłem i ja za ich przykładem, aby zwiedzić wyspę. Po raz pierwszy bowiem w życiu widziałem wyspę na morzu.

Gdy dotknąłem stopą gruntu wyspy, zdziwiony byłem jego miękkością i sprężystością. Miałem wrażenie, że grunt ten jest żywy i że życie w nim nieustannie pulsuje. Przyłożyłem ucho do ziemi i posłyszałem równomierne odgłosy czy też pukania, podobne do bicia serca.

Ponieważ marynarze trzymali się z dala ode mnie, więc samotny błądziłem po wyspie. Zaszedłem na sam jej koniec i stanąłem na brzegu.

Wyspa była pokryta dziwaczными wodorostami i krzewami. Niektóre krzewy były tak gęste i wysokie, że z łatwością mogłem się w nich ukryć. Marynarze zaopatrzyli się w chrust, w pale, a nawet belki, których pod dostatkiem było na okręcie. Rozłożyli ognisko, ażeby upiec kartofle. Wkrótce ognisko wybuchło wesołym, błękitnawo-złotym płomieniem, w którym kędzierzawiły się ruchliwe kłęby burego dymu. Ponieważ nie miałem drzewa i nie mogłem ogniska roz-

łożyć, wyjąłem z kieszeni nóż podróżny i z lekka zanurzyłem go w ziemi, ażeby zbadać dziwny grunt wyspy.

Ledwo dotknąłem gruntu ostrzem swego noża, a natychmiast trysnęła mi w twarz krew zimna, lecz purpurowa.

Zdziwiło mnie to zjawisko! Przyszedłem do wniosku, iż zapewne niektóre wyspy posiadają grunt krwisty. Tymczasem dym z ogniska buchał coraz gwałtowniej. Chrust i drzewo rozżarzyły się tak, że upał i żar od główki napęlił Ciszą Morską przejęte i stężałe powietrze.

Spojrzałem w stronę ogniska i zauważyłem, że grunt wyspy, jego żarem i płomieniem dotknięty, zaczyna skwierczeć i syczeć boleśnie, jakby go żywcem smażono lub pieczono.

I rzeczywiście, zapach smażonej czy też pieczonej ryby napęlił naraz powietrze.

Po chwili zauważyłem, że pod wpływem żarów ogniska cała wyspa zaczyna kurczyć się, poruszać i chwiać się w swoich posadach.

Przyłożyłem znów ucho do ziemi i dosłyszałem szybsze i gwałtowniejsze uderzenia zagadkowego serca, podobne tym razem do niespokojnych uderzeń młota o kielnię.

Grunt zakółsał się pode mną i usłyszałem nagle głos kapitana, stojącego na przedzie okrętu:

– Co tchu opuścić wyspę! To nie wyspa, lecz grzbiet wieloryba! Cielsko jego pogrąża się w morzu! Utoniecie wszyscy!

Na ten okrzyk kapitana marynarze w okamgnieniu przedostali się z domniemanej wyspy na okręt. Nagły i niespodziany wichur powiał od północy. Żagle się wzdęły i okręt począł szybko odpływać.

Ponieważ byłem na samym końcu olbrzymiego cielska, pokrytego wodorostami, więc nie zdążyłem wraz z tłumem marynarzy dobiec do okrętu. Kilka razy krzyknąłem wołając o pomoc, ale nikt mnie nie słyszał. Może wichur zagłuszył dźwięki mego głosu, a może marynarze chcieli się mnie pozbyć i udawali, że wołań mych nie słyszą.

Kapitana zaś nie było już na pokładzie. Zszedł zapewne do kajuty.

Okręt odpływał tak szybko, że po chwili widniał mym oczom jako łódź drobna, mnóstwem żagli białych nadmiernie oskrzydłona. Zostałem sam na rozedrganym i kołyszącym się cielsku wieloryba.

Znikąd ratunku, znikąd pomocy!

Ognisko wciąż się jeszcze żarzyło i powiewało coraz to innym jeź-zorem błękitnawożłotego płomienia.

Byłem o tyle przytomny, że podbiegłem do ogniska, aby zdeptać i zagasić jego żary, które parzyły boleśnie drgające cielsko wielory-ba zmuszając go do zanurzenia się w bezdni morskiej wraz ze mną, jedynym mieszkańcem tej potwornej wyspy!

Było już wszakże za późno! Wieloryb zaczął się pogrążyć w mo-rzu. Pogrążał się zwolna. Pierwsza fala wpadła na jego grzbiet i za-gasiła ognisko.

Zbolałe i sparzone cielsko wieloryba odetchnęło z rozkoszą pod moimi stopami, czując ochłodę w miejscu, gdzie przed chwilą ża-rzyło się okrutne i nieznośne ognisko. Wieloryb wciąż się pogrążał. Woda dochodziła mi do kostek, a potem kolejno sięgnęła pasa i ra-mion... Już tylko głowa sterczała mi nad powierzchnią morza. Zro-zumiałem, że za chwilę czeka mnie śmierć w głębinie morskiej. Stra-ciłem przytomność, ale wnet ją odzyskałem.

Błyskawicznie przemknęła mi przez głowę, sterczącą jeszcze po-nad wodą, myśl pochwycenia dłonią jednej z belek, zostawionych przez marynarzy na grzbiecie wieloryba.

Belki te pływały bezładnie, unosząc się na wezbranych falach i uderzając wzajem o siebie.

Obojętnie dłoni ucpepiłem się kurczowo największej belki – i w tej chwili uczułem, że cielsko wieloryba usuwa mi się spod nóg i po-grąża się w głębinie morza.

Zawisnąłem nad otchłanią wodną ściskając rękami belkę, która mnie trzymała na powierzchni, ratując od zatonięcia. Coraz większy i potężniejszy wicher dał od północy, miotając mną po morzu jak źdźbłem lichej słomy. Uderzał we mnie raz po razie i wyszarpywał mi z dłoni belkę. Trzymałem ją wszakże tak mocno, że najsroźsza burza nie potrafiłaby z rąk mi jej wytrącić.

Wicher gnał mnie w stronę południa. Fale to wznosiły się ku gó-rze, to opadały podę mną. Wznosiłem się i opadałem wraz z falami. Płynąłem z wichrem, nie wiedząc, dokąd mnie niesie.

Płynąłem tak dzień cały, żadnych brzegów, żadnych lądów nie widząc przed sobą. Nic – tylko morze i morze, bez końca, bez kresu, bez granic. Nastąpiła noc. Pociemniało morze, pociemniała naokół woda, w której przebywałem, niesiony wichrem ślepym i bezrozum-nym. Zamiast morza – widziałem teraz ciemność bez końca, bez kresu, bez granic. Zdawało mi się, że nie woda, lecz ciemność

wzbiera pode mną, pieni się, szumi, ogarnia mnie i unosi, nie wiadomo dokąd.

Bałem się, że wichur rzuci mną o skałę lub rafę podwodną i zmiążdży mię po ciemku, zanim zdołam zrozumieć, co się ze mną stało.

Z rozpaczą i przerażeniem wyczekiwałem świtu. Dusza moja i oczy spragnione były jednego choćby promienia słońca, który swym brzaskiem nieśmiałym dzień zapowiada.

Unosząc się na ciemnych, spienionych falach, marzyłem o tym promieniu, o tym brzasku, o tym poranku, który zaświta w niebiosach i rozwidni ciemność dookoła.

Noc wreszcie minęła i dzień zaświtał.

Zaświtał nieśmiało, bladym, zielonozłotym promieniem na szarym, zimnym obłoku.

Morze z lekka się rozwidniło. Oczy moje napełniły się radością, że mogły widzieć to, na co patrzyły. Otucha wstąpiła mi do serca. Ścisnąłem mocniej belkę – jedyną przyjaciółkę, jedyną towarzyszkę mego smutku i mojej podróży. Wichur nie ustawał i gnał mię wciąż w stronę południa.

Słońce ukazało spoza obłoku swój rąbek złoty, potem pół tarczy, aż wreszcie cała tarcza słoneczna zazłociła się na niebie.

Wówczas oczy moje, mrokiem nocnym umęczone, ujrzały z dala przed sobą brzegi wyspy nieznananej, pokryte zielenią drzew olbrzymich. Widok tych brzegów rozweselił moje oczy i moją duszę.

Uczułem teraz, jak głęboko, jak serdecznie kocham te drzewa zielone i te brzegi, które są częścią matki ziemi, mojej rodzicielki.

Wichur gnał mię właśnie ku tym brzegom, ku tym drzewom, ku tej zieleni. Zbliżałem się do wyspy z szybkością niemal błyskawiczną. Zaledwo pół godziny ubiegło od czasu, gdy wyspę zobaczyłem, a już dosięgałem jej brzegów. Po chwili belka jednym końcem uderzyła o brzeg wyspy. Chwyciłem dłonią za krzew, który ponad brzegiem zwisał, i wypelzłem z morza na wyspę.

Radość moja nie miała granic! Upadłem na kolana, pochyliłem głowę i całowałem ziemię wonną, ziemię twardą, której powierzchnię czułem teraz pod sobą.

Ucałowawszy tę ziemię wstałem, aby się rozejrzeć dookoła.

Na brzegu dzikiej i pustej wyspy ujrzałem mnóstwo pięknych koni. Jedne biegały powiewając grzywą, drugie pasły się na bujnej trawie, inne stały w miejscu,, dumnie unosząc ku górze pyski i przy-

glądając mi się oczyma pełnymi zdziwienia. I ja też ze zdziwieniem przyglądałem się im z kolei. Nie rozumiałem bowiem ich obecności na tej dzikiej i pustej z pozoru wyspie.

Głód mi dokuczał. Wyruszyłem więc w głąb wyspy w nadziei, iż mi się uda znaleźć kokosy lub banany i nimi głód zaspokoić.

Uszedłszy sporo kroków postrzegłem grootę. We wnętrzu tej groty siedziało kilkunastu ludzi bogato ubranych.

Zauważyli mnie od razu i wybiegli z groty, aby mnie zatrzymać.

– Stój! – zawołał jeden z tych ludzi. – Skąd idziesz i dokąd?

– Idę wprost z morza – odrzekłem – zaś dokąd idę... nie wiem.

– Jesteś zapewne cudzoziemcem?

– Jestem cudzoziemcem. Nazywam się Sindbad. Uniknąłem przed chwilą śmierci, która mi cały dzień i noc całą groziła. Jeśli chcecie, opowiem wam, co się ze mną działo.

– Opowiedz! – zawołali wszyscy chórem. – Lubimy pasjami wszelkie opowiadania, lecz możemy cię słuchać tylko do godziny trzeciej minut pięć. Teraz jest godzina pierwsza, masz więc dwie godziny i pięć minut czasu.

– Wystarczy mi to najzupełniej! – odrzekłem i zacząłem im opowiadać po kolei wszystko, com przeżył od czasu wyjazdu z Balsory.

Słuchali uważnie, dziwiąc się moim przygodom. Gdy skończyłem opowiadanie, zaprosili mnie do groty i podali mi suty posiłek.

Jeden z nich zwrócił się do mnie z tymi słowami:

– Jesteśmy maształerzami króla Miraża, który jest władcą tej wyspy oraz wielu wysp okolicznych. Co rok dzień jeden spędzamy tutaj wraz z tysiącem koni królewskich. Gdybyś o dzień jeden się spóźnił, już byś nas nie zastał, gdyż jutro, skoro świt, wracamy do stolicy. Drogi tej wyspy są tak błędne i tajemnicze, że bez naszej pomocy zabłąkałbyś się niechybnie i zginąłbyś z głodu.

– Punkt trzecia! – zawołał nagle drugi maształerz przerywając pierwszemu.

– Mamy tylko pięć minut czasu – rzekł pierwszy i zwracając się do mnie ciągnął dalej: – O trzeciej minut pięć wynurza się z morza na brzeg wyspy Koń Morski i wyprawia na brzegu swe chełpliwe harce, płasy i skoki. Konie królewskie przyglądają się tym harcom, płasom i skokom i mimo woli zaczynają je naśladować nabierając cudownych ruchów. Tym sposobem kształcimy konie królewskie. Lecz Koń Morski po ukończeniu swych płasów, harców i skoków rzuca się na nasze konie, aby je pożreć. Wówczas odstrasza my go